

Andrzej Pawłowski

Powrót profesora Gugulskiego do Reytana w 1969 roku
Prawdziwie złoty okres.
(Nie tylko o I CUMM 1969 rok)

Powrót prof. Gugulskiego był znakiem prawdziwej otwartości, demokratyzacji i niezależności Reytana od oficjalnych władz oświatowych w Warszawie. W szkole tworzy się coraz więcej i coraz bardziej samodzielnych ośrodków intelektualnych i towarzyskich. Główną rolę odgrywa oczywiście Czarna Jedyńka, szczególnie w dniach organizacyjnych – harcerki i harcerze z dumą prezentowali się w szkole w czarnych chustach, czarnych podkolanówkach i mundurach harcerskich przedwojennego kroju (ubieranie się w mundury harcerskie miało dodatkowy walor – pozwalało bowiem uniknąć kontroli noszenia tarcz szkolnych – przecież nie można było bezcześcić munduru harcerskiego dodatkowym elementem ubioru np. tarczy szkolnej, bo przecież owszem na początku pierwszej klasy czerwoną (a nie niebieską jak to było w podstawówce) nosiło się z dumą, to już po kilku miesiącach, gdy uczeń czuł się dorosłym człowiekiem niekoniecznie chciał się oznaczać brakiem dorosłość/dojrzałości, idąc np. do kina na film od 16 lub 18 lat. Tarcza,



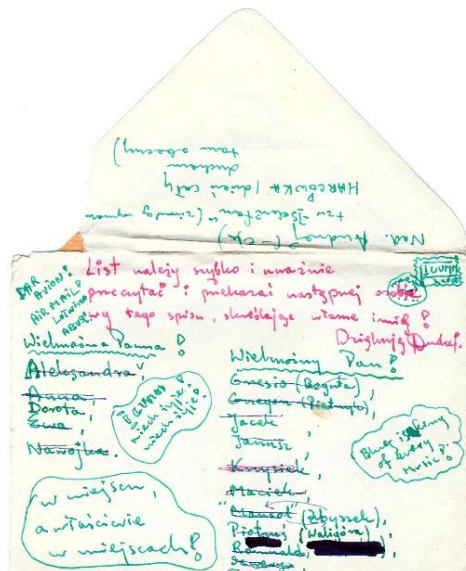
Tarcza szkolna Reytana

choć obowiązkowa, nie była więc szczególnie pożądana, a mundur dawał niezaprzeczone alibi i nie określał tak szczegółowo wieku ucznia (każdy chciał wyglądać na bardziej dorosłego niż był). Było to tym bardziej ważne, iż od czasu do czasu prof. Więcek, rusycystka (często z v-ce dyrektorem Gardzińskim, germanistą ach te związki rosyjsko niemieckie) z lubością urządzała łapanki za tarczę, sprawdzając, czy aby jest ona trwale przymocowana do ubrania, to po kilku takich łapankach dotkliwie pokłuta igłami i szpilkami (bo przecież większość była „na szpilkach” a nie przyszyta), po prostu zawężyła wejście do szkoły, tak, że duża część uczniów nie mogąc wejść do szkoły, musieli czekać pod szkołą do pierwszej przerwy. Chyba interweniowali w tej sprawie i nauczyciele - prof. Sosin, rusycystka, opiekunka samorządu i prof. Gugulski i sam dyrektor Wojciechowski, i samorząd szkolny oraz komitet rodzicielski, bo po jakimś czasie zaprzestano łapanek. Nie tylko w sprawie tarcz warto było być harcerzem w Reytanie, ale także w kwestii obuwia, oczywiście – a w tym celowała prof. Gorylukowa, matematyczka, w szkole trzeba było chodzić w kapciach. Prof. Gorylukowa oczywiście złośliwie to sprawdzała i nie wpuszczała do swojej pracowni delikwentów w nieodpowiednich butach, dyskusyjne były tenisówki, co stworzyło modę na tenisówki zwane pepegami, tylko harcerze mogli chodzić nawet w tzw. pionierkach na grubej traktorowej podeszwie, jako że był to element munduru harcerskiego. Początkowo dziewczęta musiały chodzić oczywiście w długich za kolano sukienkach (no bo nie w spodniach przecież), a chłopcy musieli mieć krótko obcięte włosy, jednak niepostrzeżenie spódniczki stawały się coraz krótsze, a włosy dłuższe, tylko zarost (jeśli ktoś go miał) nie był akceptowany, oczywiście nie dotyczyło to absolwentów, którzy będąc już na studiach z lubością zapuszczali co się dało, aby zademonstrować swoją swobodę przed ulubionymi odwiedzanymi nauczycielami. Takie to uroczyska Reytaniacy mieli gry i zabawy, nikomu nie szkodzące przecież – to tylko umacniało grę w podchody między nauczycielami a uczniami w VI LO, była to przecież nauka w miarę demokratycznego ustalania zasad współpracy i współistnienia – ważne, że można było przedstawiać swoje argumenty, a czasem je rozciągać. Zawsze w takich, nazwijmy to obyczajowych sprawach, ostateczny głos miał dyrektor Wojciechowski, który to pół żartem, pół serio, dawał chłopcom drobne na fryzjera, albo i nie dawał. Ale przecież Reytan był wtedy na pierwszym miejscu w rankingu

warszawskich szkół i to wszystkich napawało dumą, naukowym staraniem się, nauką odpowiedzialności i zręczności, a i nauczyciele mieli w tej sytuacji poczucie śmieszności regulaminowych restrykcji (tak samo wyglądały przecież zabawy z popalaniem papierosów w toaletach lub na podwórku, a tu „naloty” robił „niezobowiązująco” prof. Zawadzki „Zorro” opiekun harcerstwa). Wszyscy dobrze się z tym czuliśmy i jest co wspominać.

Wreszcie zaczyna dobrze działać też samorząd szkolny pod kierunkiem Ani Lewickiej, przewodniczącej samorządu – wydaje pismo **Bez Tytułu w bliskiej współpracy z HRM i I CUMM** (pismo – kilka egzemplarzy na powielaczu – zajmowało się problematyką naszych aspiracji kulturowych i inspiracji organizacyjnych dotyczących działalności w szkole i obok niej, pismo miało początkowo dość oficjalny charakter, ale po fuzji z Harcerską Rozgłośnią Muzyczną, kierowaną wtedy już przez Andrzeja Pawłowskiego i Seweryna Reszke zaczęły się tam pojawiać inne artykuły (np. Historia bluesa), obok propozycji organizacyjnych i pamiątkowych, co wszystkim się bardzo spodobało. Wydaliśmy chyba 3 lub 4 biuletyny. Stronę muzyczną redagował „bo”- najprawdopodobniej Grzesiek Boguta, teksty wstępniaków Andrzej Pawłowski i jeszcze ktoś inny gościnnie pisał teksty liryczno-erotyczne (vide **Bez Tytułu**)

Związek Samorządu, Czarnej Jedyńki, HRM i jej naprawdę świetnych audycji, działalność zespołu Gintrowskiego & co, sam nimb szkoły i jej wybitnych nauczycieli, zaowocował współpracą między klasową i międzypokoleniową oraz powstaniem **I CUMM (I Centrum Usług Muzyczno-Młodzieżowych vel. I Centrum Muzyki Młodzieżowej)**. Pierwszy szefem I CUMM został wybrany Andrzej Pawłowski (wówczas klasa 2.6), nazywający się ironicznie I sekretarzem (a był to 1960/70 rok). Była to całkowicie oddolna inicjatywa niezależna od jakichkolwiek oficjalnych ciał w szkole, dość luźna organizacja o charakterze dyskusyjnym i towarzyskim. W **I CUMM** po prostu spotykaliśmy się i czasem dyskutowaliśmy o wszystkim, co miało nawet luźny związek z kulturą, sztuką i życiem (nie tylko szkoły) – i tak powstały : **Dyskusyjny Klub Plastyczny, Dyskusyjny Klub Teatralny, Dyskusyjny Klub Filmowy, Dyskusyjny Klub Muzyczny** i nasze „oczko w głowie” **Dyskusyjny Teoretyczny Klub Żeglarski** (tak dla żartów) oraz „organ” prasowy **Biuletyn HRM i I CUMM**, także współpracujący z samorządem – Anią Lewicką.



List motywujący AP do zainteresowanych 01.1970 (także pdf)

Nie istniał natomiast **Klub Literacko-Czytelniczy**, bo wszystkie **potrzeby w tym zakresie gwarantował nam prof. Ireneusz Gugulski na lekcjach polskiego** i poza godzinami lekcji, na przerwach lub po lekcjach brał niektórych z nas pod łokieć w formie perypatetycznej, mówiąc „Syneczku, (lub adekwatnie do sytuacji : Panienczko) przeczytaj to ... lub a co

sądzisz o tym...”. Profesor pożyczał nam także ze swoich prywatnych zbiorów książki lub samizdaty (tak było z Miłozsem lub Gombrowiczem – wówczas oficjalnie nieobecnych w polskiej nie tylko szkolnej literaturze. Byłem też kilka razy zaproszony przez profesora do jego mieszkania, gdzie dostałem, w trakcie rozmowy, na dwa dni „Ferdynand” potem „Ślub” i „Trans-Atlantyk”, potem wydawnictwo L’Herne o Gombrowiczu (po francusku) oraz Traktaty Miłozsa). Ja z kolei, gdy dostałem od Magdy Rakowskiej – koleżanki z klasy „ Kosmos” Gombrowicza wydany w 1970 roku przez paryską Kulturę, natychmiast po przeczytaniu pożyczyłem go **profesorowi Gugulskiemu**, i potem długo spacerując po ulicach Mokotowa w okolicach Mozaiki, analizowaliśmy wspólnie jego treść i językowe smaczki tego arcydzieła – ta lektura dzięki prof. Gugulskiemu zastała ze mną do dziś !

Pomoc niezwykłą w sprawach dostępu do książek okazywała nam **pani Halina Obertyńska**, nasza szkolna bibliotekarka, cudowna osoba !, która pomagała nam wypożyczyć książki nawet z Biblioteki Narodowej. Ileż wtedy czytaliśmy ważnych książek, miesięczników i tygodników literackich – wszystkie były i w naszej bibliotece szkolnej dzięki pani Obertyńskiej.

Jak widać Reytan, żył nie tylko oficjalnym spisem lektur szkolnych (to właściwie była tylko mała część naszych literackich peregrynacji) ale i bieżącą krytyką naszego oficjalnego życia społecznego i kulturalnego (co było oczywiście oczywiste w Reytanie i w Czarnej Jedyńce, często naśmiewaliśmy się z „ naszych pierwszych sekretarzy” i oficjalnej listy lektur), w czym w sposób bardziej dyskretny sekundowali nasi nauczyciele - nie tylko przedmiotów humanistycznych, a prof. Gugulski robił to w niepowtarzalnie dowcipny, lekko szyderczy sposób – kiedy to np. wpadła mu z ręce propagandowa książka - album „ Ziemia, która natchnęła Mickiewicza”, sławiąca naszego wieszcza jako białoruskiego (sic !) poetę, wydana chyba w Mińsku Białoruskim – szczególnie bawiły nas podpisy pod zdjęciami typu : „Dobrze się gada na przewodach” co miało obrazować industrializację ziemi nowogródzkiej w czasach realnego socjalizmu, a na zdjęciu były jaskółki siedzące na drutach wysokiego napięcia, a gdzie był Adam Mickiewicz ? Profesor nie mógł tego nie wykorzystać, aby nie obśmiać propagandzistów i nie zrobić nam wykładu o Mickiewiczu i polskości jego twórczości. A wiosną 1971 roku dwie lekcyjne godziny zachęcał nas do dyskusji o pomysły tow. Gierka odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie – pół klasy było za, pół przeciw, ale lekcja była niesamowita, a wszystko to w kontekście polskiej literatury i historii oraz „wydarzeń grudnia 1970”. Taki to był cudowny Klub Dyskusyjny Literacki na regularnych lekcjach języka polskiego i innego nie było nikomu trzeba.

Dyskusyjny Klub Plastyczny a dokładniej Wystawienniczo Krytyczny był prowadzony przez Anię Lewicką (także przewodniczącą samorządu szkolnego) i Nawojkę Cieślińską. Wspólnie chodziliśmy na wernisaże i wystawy a potem rozmawialiśmy o nich. W 1970 roku część z dyskutantów postanowiła zakupić wspólnie z galerii Foksal



„Parasol” T. Kantor, 1970

obiekt plastyczny „Parasol emballage” Tadeusza Kantora (obraz kosztował ówczesne 500,00zł – w 10 osób złożyliśmy się po 50,00 zł i urządzaliśmy spotkania dopisując lub dorysowując coś w dowolnej formie do białego płótna i parasola T. Kantora, każdy z akcjonariuszy miał go u siebie przez tydzień lub dwa – ważne było tylko aby go nie zniszczyć po roku „pracy nad emballagem” trzeba było oddać do Galerii Foksal i tam odbyła się wystawa wszystkich „Parasoli” było ich bowiem 20 lub więcej; spotykaliśmy się także przy okazji wystaw Beksińskiego i innych. Uczestnikami w parasolu Kantora był oczywiście **prof. Gugulski** oraz m.in. Nawojka Cieślińska, Ania Lewicka, Ewa Stefańska, Włodek Bolecki, Marek Zaleski, Wojtek Falkowski, Seweryn Reszke, Andrzej Pawłowski i ktoś jeszcze. Dzięki Kantorowi przekazywanie obrazu miało charakter happeningu i bankietu, było i twórczo, i miło !

Kolejną ważną grupą w **I CUMM** był **Dyskusyjny Klub Teatralny**, jego celem były debaty o współczesnym teatrze – prowadzili je Ewa Stefańska i Andrzej Pawłowski. Technicznie rzecz biorąc, chodziliśmy wspólnie na warszawskie (i nie tylko) premiery teatralne, czytaliśmy Teatr i Dialog, i na temat ocen jakości przedstawień prowadziliśmy pogłębione rozważania i gorące spory. Warto zauważyć, że był to jednocześnie wspaniały okres rozwoju polskiego teatru i było o czym rozmawiać oglądając spektakle Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy, Macieja Prusa, Jerzego Grzegorzewskiego i oczywiście naszego ówczesnego idola Jerzego Grotowskiego. Gorące spory w naszym Klubie budziła też twórczość Adama Hanuszkiewicza – tak to był piękny okres wielkości polskiego teatru (niestety byliśmy zbyt młodzi, aby dostać się na „Dziady” Dejmka z 1967/68 roku, ale z przekazów rodziców, nauczycieli i starszych kolegów i z Radia Wolna Europa – wiedzieliśmy o nich wszystko i taki przekaz stanowił dla nas wzór obywatelskiej, demokratycznej, wolnościowej postawy). Tak, w owym czasie Teatr był niezwykle ważnym elementem kształtowania postaw społecznych i wytwarzał z ogromną siłą modę na zaangażowaną i wyrafinowaną artystycznie sztukę, na przerwach w szkole i w naszym klubie analizowaliśmy nie tylko spektakle, ale i świat dziejący się wokół nas, a w spektaklach, z lubością, wraz całą widownią wychwytywaliśmy każdą cienką i grubą aluzję do krajobrazu politycznego PRLu, a w Klubie Teatralnym powtarzaliśmy kolegom co cenniejsze fragmenty ukrytych znaczeń spektakli. Apogeum tej atmosfery stanowiły Warszawskie Spotkania Teatralne, na które wchodziliśmy wszelkimi możliwymi sposobami (na tłok, przez okno, od tyłu teatru i na używanie języków obcych), bo biletów przecież nie było. W 1970 roku, gdy odbywały się strajki i pacyfikacja robotników w Gdańsku, prawdziwym wydarzeniem i artystycznym, i politycznym był spektakl Konrada Swinarskiego „Sen nocy letniej” Szekspira, w którym reżyser wprowadził nieme postacie dwóch szpiclów na Ardeńskim Dworze, którzy mieli pilnować przestrzegania „porządku” – skądinąd był to rewelacyjny spektakl z niezwyklej rolą młodziutkiego Wojciecha Pszoniaka jako „latającego” Puka, o wiele lepszy niż 2 lata później „Sen...” Petera Brooka, na huśtawkach, sprowadzony z Londynu w 1972.

W roku 1971 wybraliśmy się jako przedstawiciele naszego Dyskusyjnego Klubu (Ania Bogdanowicz – przyjaciółka z równoległej klasy oraz z Czarnej Jedyńki i ja) do Teatru Starego w Krakowie na premierę kolejnego spektaklu Swinarskiego „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” Szekspira – spektakl był absolutnie rewelacyjny, mądry i psychologicznie dotkliwy, z niezapomnianymi rolami Marka Walczewskiego, Anny Polony, Wojciecha Pszoniaka, Wiktora Sadeckiego i całego zespołu teatru, a scena „łapania gęsi” niejednokrotnie nam się przypominała. Często opowiadaliśmy kolegom o tym teatralnym przeżyciu i dogłębnie analizowaliśmy to przedstawienie na spotkaniach naszego Reytaniackiego Dyskusyjnego Klubu – tak powstała nasza Krakowsko – Warszawska – Reytaniacka więź. Ale i wcześniej jeździliśmy autostopem do Krakowa w harcerskich mundurach Czarnej Jedyńki do Teatru Starego na „Matkę” Witkacego w reżyserii Jarockiego i na „Biesy” Dostojewskiego – Andrzeja Wajdy. We foyer warszawskiego Teatru Ateneum urządzaliśmy happeningi tetralno-harcerskie

(w pełnym rynsztunku z plecakami i w mundurach Jedynkowych, w powrocie z obozu wędrownego) na premierze „Szewców” Witkacego w reżyserii Macieja Prusa, co wzbudzało niekłamany popłoch wśród bileterek teatralnych szacownego Ateneum, a nam pozwoliło na „dopowiadanie” wymyślnych sążnistych wiązańek „przekleństw” Witkacego w trakcie spektaklu, co zresztą wzbudzało aplauz widowni, która zapewne myślała, że to taka koncepcja reżyserska w wykonaniu statystów przebranych za harcerzy Czarnej Jedynki – przecież tematem spektaklu był m.in. obraz rewolucji społecznej i sprzeciw wobec niej. W dystyngowanym Teatrze Współczesnym Erwina Axera (skądinąd ojca naszego młodszego kolegi z Reytana – Andrzeja Axera) rozkoszowaliśmy się spektaklem „Play Strindberg” Dürrenmatta z jedną z wielu niesamowitych ról mistrza Tadeusza Łomnickiego – w roli kapitana Edgara, kwestie z tego spektaklu w wykonaniu Łomnickiego stały się naszymi ulubionymi powiedzonkami na przerwach wśród Reytaniackiego towarzystwa, także i cytaty z „Kniazia Patiomkina” Micińskiego (to akurat tylko w lekturze). Jedną z pamiętnych dysput był nasz spór, czy lepszy Łomnicki, czy Jan Świdorski w „Cenie” Millera w Ateneum - Nawojka Cieślińska zachwycała się Świdorskim, a ja Łomnickim. Natomiast z dystansem wypowiadaliśmy się o spektaklach Adama Hanuszkiewicza m.in. z Kordianem na drabinie. Jedną z nauczycielek prof. Maria „Mańka” Ostrowska była zagorzałą wielbicelką nieco hochsztaplerskiej charyzmy Hanuszkiewicza (który cieszył się u nas w szkole złą sławą po przyjęciu dyrektora w Teatrze Narodowym, po wyrzuceniu Kazimierza Dejmka) i kiedyś zaprosiła go do nas do szkoły, co większość „teatromanów” z naszego Dyskusyjnego Klubu Teatralnego po prostu świadomie zbojkotowała, czego pani profesor nie mogła zrozumieć (o ile pamiętam, także nasza koleżanka z równoległej klasy, w której wychowawczynią była właśnie prof. Ostrowska, Małgosia Kreczmar (córka rektora PWST – Jana Kreczmara) także wsparła nasz bojkot, a każdym razem krytycznie o Kordianie Hanuszkiewicza się wypowiadała w naszym klubie).

Byliśmy także w tym czasie całą grupą na świetnym, hipnotycznym koncercie Ewy Demarczyk w rewelacyjnej formie, w sali Kongresowej – to było piękne przeżycie.

Powoli nasz **Dyskusyjny Klub Teatralny** coraz bardziej się profesjonalizował, oczywiście dzięki żywemu dopingowi prof. Gugulskiego, niektórzy z nas widzieli nawet „Marat/Sade” Petera Weissa w reżyserii Swinarskiego w Ateneum, byliśmy też na „Nie-boskiej” Krasińskiego w reżyserii Hanuszkiewicza w Narodowym i „Weselu” Wyspiańskiego (i nawet nam się te spektakle podobały – profesor Gugulski omawiał z nami „Nie-boską” na lekcji), w pierwszym książkowym wydaniu ukazał się „Teatr” Jean Geneta, czyli zbiór jego sztuk w nowych przekładach (wspólnie z koleżanką z klasy Magdą Niewiadomską kupiliśmy sobie na spółkę tę książkę) i Geneta czytaliśmy z wypiekami emocji na twarzy, podobnie jak i sztuki Becketta, i Ionesco. Namawiał nas też profesor do czytania Peipera, Grochowiaka, Mrożka i Różewicza, rozmawialiśmy o spektaklach Trzebińskiego „Aby podnieść różę” i „Krakus/Wanda” Norwida reż. Małgorzaty Dziewulskiej w Ateneum, „Potęga ciemnoty” Tołstoja Erwina Axera we Współczesnym - Łomnicki, Łomnicki!, byliśmy poza Krakowem też i w Toruniu na spektaklu wg Micińskiego (którego twórczości Gugulski nie cenił, jak i S.I.Witkiewicza, a których z lubością cytowaliśmy namiętnie na lekcjach polskiego, także i Przybyszewskiego (strasznie nudny, ale „demoniczny obyczajowo”). Cudem udało nam się kupić „Teatr i jego sobowtór” Antonina Artauda i tak bezcenna książka krążyła wśród członków Klubu, a jej czytelnicy dopisywali swoje uwagi na marginesach stron książki – „Biblii współczesnego teatru”.

Czekaliśmy niecierpliwie na spotkanie z Jerzym Grotowskim z „Apocalipsis cum figuris”, Teatr Laboratorium przyjechał na występy w budynku Starej Prochowni w Warszawie jesienią 1971 roku, nawet staliśmy w nocy w kilometrowej kolejce, zarywając zajęcia w szkole,

oczywiście bilety się skończyły zanim mogliśmy je kupić. Gdy tłumaczyłem się z nieobecności na lekcji polskiego, **profesor Gugulski** wziął mnie pod łokieć na korytarzu szkolnym i powiedział „Syneczku, nie martw się, moją przyjaciółką jest Leonia Jabłonkówna i załatwiła mi kilka wejściówek na Grotowskiego, chcesz jedną ?” Z wrażenia nie wiedziałem, co powiedzieć, tylko bąkałem podziękowania, „ Ale syneczku, obiecaj mi, że pójdziesz na polonistykę, bo dobrze piszesz” i dał mi wyjęty z kieszeni bilet , odpowiedziałem „Panie profesorze bardzo dziękuję, ale ja pójdę na psychologię, żeby zostać reżyserem teatralnym”, „No chyba że tak”. I potem widzieliśmy się z profesorem w Starej Prochowni na spektaklu i dyskusji z Grotowskim (chyba byli też tam Włodek Bolecki i Marek Zaleski, z przydziału Jabłonkówny i profesora, także wybitni uczniowie Gugulskiego – obaj zostali profesorami polonistyki !). Opowiadałem wszystkim o tym w naszym Klubie, o tym, jak i dzięki komu dostałem się na spektakl i jakie niezwykle wrażenie zrobił on na mnie (porównywalne tylko z równie wspaniałym „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” Swinarskiego, które zobaczyłem 1,5 miesiąca później), i do końca życia będę wdzięczny profesorowi (no, nie tylko za ten bilet !!!).

Kilkanaście lat później w drugiej połowie lat 80-tych, gdy byłem już uznanym reżyserem Teatru Ateneum, idąc Belwederską pod górę, spotkałem profesora, ucieszył się na mój widok „Andrzej, dokąd idziesz” (już nie Syneczku), „ Lecę do teatru, przypilnować artystów”. Wyciągnąłem paczkę moich ulubionych Pall Malli, czerwonych bez filtra, „Odprowadzę cię” i trochę się zakrztusił pallmelem i tak poszliśmy do placu Trzech Krzyży, popalając najlepsze pod słońcem papierosy, rozmawiając o moich spektaklach, które pochwalił profesor, a gdy skręcałem na Powiśle powiedział „Andrzej, może i dobrze, że zostałeś reżyserem, a nie polonistą”, a ja „ To wszystko dzięki Panu Panie Profesorze, dziękuję Panu” – tak się rozstaliśmy, zapraszając się na kolejny spektakl (chyba właśnie „Balkon” Geneta). Dochodząc do ulicy Jaracza pomyślałem „to przecież wszystko dzięki Gugulskiemu” i trochę się martwiłem, bo profesor nie wyglądał, aby był w najlepszej formie i kilka razy kaszłał palmelami, nie wiedziałem, że jest ciężko chory. Ale i byłem szczęśliwy, że podobały mu się moje spektakle, o których ze znanstwem ze mną wtedy rozmawiał po drodze. Tak to wszystko dzięki Gugulskiemu i tej szkole, w której on nas uczył świata, literatury, teatru i jeszcze czegoś więcej !

A niejako przedłużeniem Dyskusyjnego Klubu Teatralnego był obóz harcerski Czarnej Jedyńki drużyny **Kubuś Puchatek** nad jeziorem Czarne/ Ostrowiec w roku 1971, z Ludwikiem Dornem „Louisem” i Zbyszkim Romanem „Mansolem” przerzucaliśmy się na apelach porannych cytatami z Witkacego, Gombrowicza i Micińskiego oraz Becketta w odpowiedzi na głośną lekturę „Gargantui i Pantagruela” Francois Rabelais w wykonaniu komendanta obozu Wojtka Fałkowskiego. Postanowiliśmy też wystawić „Hamleta” Szekspira w mojej reżyserii, Louis grał Hamleta, Maciej Maciuszko grał na gitarze i odtwarzał Klaudiusza, Krzysztof Żurowski „Żuraw” grał Ducha Ojca, nie pamiętam, kto grał Ofelię (czy to nie Pawełek Barański ? czy Paweł Detyna ?, a kogo grał Janek Znosko ? nie pomnę). Ważne, że spektakl zrobił furorę wśród widzów – zaprosiliśmy nań dzieci i rodziny okolicznych rolników oraz harcerki z Czarnej Jedyńki z sąsiadującego z nami obozu (chyba Kameleon) – obozy były przecież niekoedukacyjne. Spektakl był rodzajem happeningu bardzo luźno opartego na tekście Szekspira, którego nikt z nas przecież nie miał ze sobą na obozie, ale aktorzy grali, improwizowali znakomicie – Louis głęboko intelektualnie myślał „Być albo nie być”, Żuraw z twarzą nasmarowaną trawą na zielono, biegał po scenie pohukując i strasząc widzów a szczególnie dzieci rolników, Ofelia (a może to Maciuszko grał Ofelię i śpiewał a to basem, a to tenorem w białej powiewnej szacie, była też scena szermierki na kije leszczynowe na zakończenie wszyscy „umierali” w męczarniach salw śmiechu. Reklamy w chórk (a jakże był pewnie pierwszy w świecie spektakl teatralny przerywany między aktami reklamami) wykonywałem ja z „Romualdem” Mikołajczykiem i Zbyszkim „Mansolem” Romanem

wyspiewując tekst reklamy w antraktach lub, kiedy aktor nie pamiętał tekstu : „Szybko mydło szary Jeleń, wypierze ci dobrze każdą zielen”. Jak widać spektakl był i przedni, i nowatorski, a owacjom końca nie było. Następnego dnia moja obsada i wierchuszka obozowa (Fałunio, Mansol, Majcher i chyba Naimski), aby uczcić mój debiut reżyserski, urządzili mi chrzest wodny reżyserski zrzucając mnie z tratwy do jeziora i odpłynęli na brzeg, ja cały mokry walczyłem, aby utrzymać się na tratwie (bo nigdy nie nauczyłem się pływać) pomstując na całe jezioro i okolice, że jeżeli natychmiast nie wyciągną nie na płytką wodę, to już nigdy ich nie obsadzę w moich spektaklach. Jakoś dopłynąłem o własnych siłach do brzegu i więcej nikogo z tych „aktorów” nie obsadziłem. A reżyserem zostałem.

Wcześniej w 1971 na zabawie Reytaniackiej „Tlusto Czwartkowej” spróbowałem też aktorstwa - przebrałem się za **profesora Gugulskiego** z petem w zębach, co wzbudziło konsternację wśród balujących uczniów i nauczycieli, jeden Gugulski bawił się moją rolą serdecznie , a nawet powiedział rozbawiony „Syneczku, kostium dobry, ale aktorstwo



Andrzej Pawłowski przebrany za prof. Gugulskiego– Tlusty Czwartek, Reytan 1971

marne”, to dało mi do myślenia i wybrałem nie aktorzenie, ale reżyserowanie, czego nigdy później nie żałowałem.

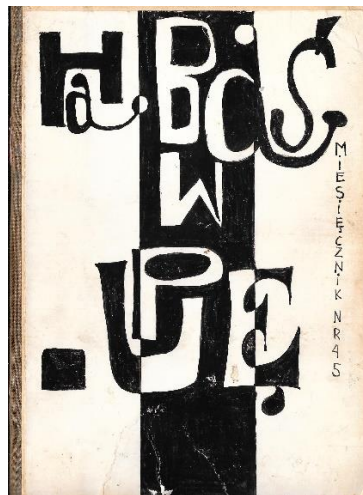
Kolejne nasze spektakle odbyły się na fakultetach z **profesorem Gugulskim** (w ostatniej, czwartej klasie mieliśmy z profesorem dodatkowe zajęcia humanistyczne, poza zwykłymi lekcjami polskiego). Gdy przyszła moja kolej na wygłoszenie referatu, zaprosiłem całą grupę na Pola Mokotowskie i tam, przy pomocy moich atrakcyjnych 19-letnich koleżanek (aktorów z obozu już nie zatrudniałem) odegraliśmy spektakle-happenings Beckettowskie (teksty Samuela Becketta) na kanwie „Czekając na Godota”, „Końcówki”, „Radosnych dni” i „Wyludniacza”, spektakl był isticie perypatetyczny, piękne moje aktorki siedziały w kubłach na śmieci (jak w „Końcówce”), zakopywały się (jak w „Radosnych dniach”) w okopach na Polu Mokotowskim) (jeszcze nie było tam asfaltowych alejek), siedzieliśmy filozofując pod drzewem (tym z „Czekając na Godota”) i czekaliśmy, czy aby coś nie wydarzy, na stercie węgla odczytaliśmy fragmenty „Popiołów” i zaglądaliśmy do szybu windy, w jak na owe czasy niezwykle wysokich 10-piętrowych budynkach przy ulicy Bruna, czytając fragmenty „Wyludniacza”, na koniec z magnetofonu odegrałem Hey Joe Hendrixa a propos „Słuchaj Joe” – właściwie całość ówczesnych dzieł Becketta, z koniecznymi skrótami, odczytaliśmy wraz z koleżankami i Krzysiem Korzeniowskim. Nasze chodzenie po Polu Mokotowskim, bardzo

adekwatne do obrazu pomysłów Becketta na kondycję ludzkości, trwało ok. 3-4 godzin, ale nikt nie narzekał, a profesor postawił mi za referat piątkę z plusem.

Potem duża część naszych „Fakultetów”, zdała z Reytana bez problemów na Wydział Psychologii UW, gdzie natychmiast stworzyliśmy silną grupę „trzymającą towarzyską władzę” w naszej grupie na wydziale i tam kontynuowaliśmy naszą radosną twórczość happenserską – gdy np. następowało przekształcenie ZSP w SZSP (socjalistyczne zrzeszenie studentów polskich) powiązaliśmy się (ja z Krzysiem Korzeniowskim) na znak opresji czerwonymi szalikami i dopytywaliśmy ZMSowskich agitatorów aparatczyków - „Ale o co chodzi” i „Niech żyje ZSP” bucząc przy tym niemilosiernie (to było kilka miesięcy po opuszczeniu Reytana w 1972 roku). Założyliśmy też oczywiście studencki teatr (do premiery „Parawanów” Geneta nie doszło, ale nic to).

Gdy odwiedziłem profesora Gugulskiego w Reytanie w jego nowej klasie samych „panieneczek” i opowiadałem o naszych czerwonych szalikach protestu i zniewolenia, bardzo się tym naszym występowaniem ucieszył, ku zdziwieniu części panienczek. Ale to już inne historie studenckie. Jak widać nasze reytaniackie teatryki, pod opieką profesora Gugulskiego rozwijały się niezwykle twórczo i w porozumieniu z duchem czasów, zgodnie z tym czego uczył nas Gugul, Reytan i Czarna Jedyńka, że trzeba rozumieć meandry historii i polityki i reagować na nie.

Ale i bywały chwile mniej zabawne, po na locie milicji i SB na spotkanie Gromady Włóczęgów w Zalesiu u Uli Doroszewskiej w 1971 roku w szkole uaktywnił się niejaki Wyremba zastępca dyrektora i wspólnie z prof. Gardzińskim usiłował nas cenzurować, na co kategorycznie się nie zgodziliśmy, w naszym oporze wspierała nas poza prof. Gugulskim, prof. Anna Sosin i prof. Anna Modrzejewska oraz Ania Lewicka z samorządu. Niestety Wyremba tak nam przeszkadzał, że rozpadło się I CUMM, działalność rozgłośni HRM się kurczyła, a my niejako zeszliliśmy do podziemi koncentrując się na wydawaniu (nielegalnym) naszego pisma niespołeczno – literackiego poświęconego twórczej twórczości „**Habaż w .upę**” – tego nie dało się cenzurować przez tow. Wyrembę – o Habaziu w .upę patrz oddzielny artykuł, niestety pierwszy numer Habazia prawdopodobnie został zniszczony zaarrestowany przez Gardzińskiego i Wyrembę. (uwaga ! **Habaż w .upę** nie był żadną gazetką szkołą, jak piszą historycy prasy Reytaniackiej, to było pismo literacko-artystyczne z nadziejami na zmianę świata ! sic!).



Kolejnym Klubem I CUMM był **Dyskusyjny Klub Filmowy**, któremu przewodził Maciek Kocięcki. Mniej więcej w tym czasie (chyba pierwsze miesiące roku 1971) - zaczęły się odbywać raz do roku Konfrontacje Filmowe - wyświetlane w 5 kinach Warszawy przez 1 lub 2 dni - wybrane ok. 10 tytułów zagranicznych (zachodnich) filmów, które nie pojawiały się w normalnej dystrybucji kinowej. Dostanie się na te filmy oczywiście graniczyło z cudem, ale

czasem jakoś się nam udawało, a pojawiały się tam prawdziwe hity filmowe – filmy Felliniego („Cassanova” potem „Amarcord”), Passoliniego („ Dekameron”), Antonioniego „Powiększenie”, potem „Zawód reporter”, „Diabły” Russela, „Mechaniczna pomarańcza” Kubricka, „Kalina czerwona” Szukszyna, „Pirosmani” Shengelaya , „Antonio dos Mortes” i kilka innych – to oczywiście było święto kina, które szeroko na zebraniach Klubu i w szkole omawialiśmy.

Ale też Maciek Kocięcki rozpoczął prezentacje i rozmowy o polskim Kinie Moralnego Niepokoju – tak urządziliśmy projekcję „Struktury kryształu” Zanussiego i odbyło się spotkanie z reżyserem w naszej szkole, niestety ani film, ani reżyser nie wzbudził naszego szczególnego entuzjazmu, co trochę zaszkodziło naszemu Klubowi, który działał raczej coraz rzadziej, ważniejsze był rozmowy o filmach z Konfrontacji lub z DKFów – tam pojawiały się filmy Kurosawy, Goddarda „Szalony Piotrus” i „ Do utraty tchu”, „Zeszłego roku w Marienbadzie”, „Winda na szafot”, starsze filmy Felliniego. Nasza edukacja filmowa dzięki Maćkowi i innym entuzjastom kina była jednakowoż na wysokim poziomie, choć niższym niż teatralna.

Za to **Dyskusyjny Klub Muzyczny** prowadzony przez Grzesia Bogute, działający w ścisłym związku z **HRM** (naszą Harcerską Rozgłośnią Muzyczną, a wtedy prowadzoną przez Sewka Reszke i przeze mnie) działał niezwykle prężnie. Zdobywaliśmy od kolegów najnowsze płyty (np. kilka dni po premierze światowej mogliśmy słuchać „Electric Ladyland” Joe Hendrixa, Jetro Tull, Canned Heat, Doors „Beatles („Biały album”)” czy kolejne płyty Led Zeppelin, Rolling Stones, Animals (z wybitną płytą „Animalism na czele), ale i słuchaliśmy muzyki jazzowej (Miles Davis) i bluesowej (Muddy Waters, John Lee Hooker i Cuby and The Blizards). Żywioł muzyczny był niewątpliwie jednym z najważniejszych elementów kultury, którą wówczas żyliśmy i nasiąkaliśmy- przecież nie chodził tylko o podrygiwanie i głośne słuchanie dźwięków, w tych czasach w Polsce był to zarazem rodzaj manifestacji kulturowej, wyraz dążenia do swobody i sprzeciw wobec siermiężnej oficjalnej rzeczywistości społecznej i kulturowej. Reytan niewątpliwie uczestniczył „pełną parą” w tej kontrkulturowej rewolucji m.in. dzięki HRM i Klubowi, byliśmy w tej młodzieńczej awangardzie warszawskich liceów. Tej lawiny wolności i niezależności, którą zbudziła w nas zachodnia muzyka nadawana przez HRM i Klub, nie dawało się już powstrzymać, mimo starań aparatczyków socjalizmu, w szkole i wokół niej - przecież było to cudowne kształtowanie naszych postaw i indywidualności.

Mieliśmy też **Dyskusyjny Teoretyczny Klub Żeglarski** (nie mylić z prawdziwą działalnością żeglarską, którą animował Jerzy Kijowski, kupując i remontując jacht „Zjawa” w drużynie Viking Valparaiso, kolejnej obok Kubusia Puchatka, Kameleona, i innych drużynie szczerpu Czarnej Jedynki), teoretyczny klub żeglarski prowadzony przez Piotra Waligórę, miał raczej wymiar ściśle towarzyski i elitarny, co przejawiało się w spotkaniach towarzyskich i dyskusjach o wyższości żeglarzy teoretycznych nad zwykłymi i stanowiło samo w sobie pewien żart filozoficzny-społeczno-towarzyski. Spotkania odbywały się głównie wiosną, czasem nad Zalewem Zegrzyńskim, ale poziom dyskusji filozoficznych (Kant, Schopenhauer, Bergson, Berkley, Wittgenstein, Sartre i Heidegger oraz filozofia indyjska) był niezwykle wysoki i dość abstrakcyjny. Był to raczej swobodny klubik filozoficzny, poza nazwą niewiele mający wspólnego z żeglarstwem, aczkolwiek ćwiczenia intelektualne, logiczno-metafizyczne i psychologiczne niewątpliwie były bezcenne.

I CUMM po działaniach Wyremby z Gardzińskim (czego oni się bali ?), kiedy to zostałem wezwany przez nich do ich gabinetu na drugim piętrze i kiedy odmówiłem cenzurowania naszych działań, oficjalnie zakończył działalność. Oczywiście tak ciekawej, spontanicznej i niezależnej, a przyjemnej działalności nie można było już administracyjnie zlikwidować, duch niezależności i wolności był już przecież ugruntowany, tym bardziej, że była to działalność nie

programowana przez nikogo poza nami samymi i żadne zakazy i nakazy nie mogły tego zmienić. Sądzę, że przez 2 lata działalności udało nam się dużo osiągnąć dla zainteresowania Reytaniaków kulturą i sztuką (a tego nigdy nie jest za wiele) oraz samoorganizacją naszego szkolnego i pozaszkolnego życia społecznego. Działalność I CUUM niewątpliwie miała wielkie znaczenie dla lepszego wzajemnego poznawania się i porozumiewania między różnymi klasami i ludźmi oraz integracji całej szkoły. Reytaniacy udzielali się też poza szkołą na koncertach, premierach teatralnych i filmowych, na wystawach i wernisażach, a to także bezcenne żywe uczestniczenie w kulturze. Dzięki świetnym (niektórym) nauczycielom i dyrektorowi, znakomitej drużynie harcerskiej, wielu interesującym uczniom, poczuciu wspólnoty (i oporu wobec głupoty) , dzięki „duchowi” tej szkoły, wielu z nas Reytaniaków może być dumnych ze swoich osiągnięć i przechowywać w pamięci te lata naszego przyspieszonego rozwoju w poczuciu więzi z tradycją i otwartością na ludzi i świat, który nas kształtował i który my kształtowaliśmy dzięki naszym doświadczeniom. Będąc Reytaniakiem nie można było nie czytać książek, nie wiedzieć, po co jest kultura, czym jest wartościowa sztuka, jakie wzory postaw warto rozwijać dla wspólnego dobra. My po prostu tego codziennie doświadczaliśmy i tym żyliśmy, a także przenosiliśmy w nasze dorosłe, twórcze życie. Ja sam też wiele się szybko nauczyłem – dzięki tej niezwykłej Szkole. Uczyłem się tu, że ważne są wartości – wolność, prawda, mądrość, wiedza, solidność, twórcze poszukiwania, uczciwość, sprawiedliwość, honor, poczucie „zakorzenienia”, aktywność, porozumiewanie się, samodzielność, wdzięczność, empatia i poczucie humoru. Dziękuję profesorze! Dzięki Reytanie !

Andrzej Pawłowski , matura 1972